№ 61. Warszawa, dnia 18 (30) Lipca 1872 roku. Tom II. — Rok I.





# PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

**Prenumerata w Warszawie:**
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rs. 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs 1 kop. 35, Wieniec wraz z dodatkiem Encyklopedyi Powszechnéj w 8-miu tomach rocznie Rs. 9 kop. 40, kwartalnie: Rs. 2 kop. 35.
**Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:**
Rocznie rs. 8, kwartalnie rs. 2, wraz z dodatkiem Encyklopedyi rocznie rsr. 13, kwartalnie rsr. 3 kop. 25.

Wydawca Hipolit Orgelbrand.

Ekspedycya główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austryackiém: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego kwartalnie: flor. 3 cent. 25; wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwartalnie florenów 5 cent. 5.
W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanich i pożytecznych, kwartalnie: flor. 3, wraz z dodatkiem Encyklopedyi flor. 4 cent. 80.
W W. Ks. Poznanskiém: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½, wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwart. tal. pr. 2 sgr. 22½.


## OKO NIEWIDZIALNE.

OPOWIADANIE

ERCKMANN-CHATRIANA.

### I.

yłem wtedy biedny, jak szczur kościelny, mówił Krystyan. Mieszkałem na strychu starego domostwa na ulicy *Minnesaenger* w Norymberdze.

Usadowiłem się w rogu dachu, którego dachówki służyły mi za ściany, a główna belka za sufit; trzeba było iść po sienniku chcąc się dostać do okna, ale to okno wybite w ścianie szczytowéj, otwierało się na widok wspaniały; wzrok mój ztamtąd obejmował całe miasto i wiejskie za miastem obszary; patrzałem na koty poważnie przechadzające się po rynnach; na bociany z zapasem żab w dziobie przynoszące żer łakomym pisklętom; na gołębie wylatające z gołębników i z ogonami w wachlarz rozpostartemi bujające po nad otchłanią ulic. Wieczorem kiedy dzwony wzywały na Anioł pański, ja podparty na łokciach na krawędzi dachu, słuchałem melancholicznéj ich muzyki, spoglądałem na oświetlające się kolejno okna, na poczciwych mieszczan palących lulki na trotuarach, i na dziewczęta w krótkich czerwonych spódniczkach z dzbankami w rękach, śmiejące się i szczebioczące koło studni Ś-go Sebalta. Powoli wszystko cichło, rozpływało się w mroku wieczornym nietoperze rozpoczynały swój kręty lot a ja kładłem się spać z miłym spokojem w duszy.

Stary tandeciarz Toubac znał drogę do mojego gniazda równie dobrze jak ja, i nie obawiał się spadzistéj prowadzącéj doń drabiny. Co tydzień koźli jego łeb najeżony rudawemi czóchrami podnosił klapę mojéj mysiej nory, a tandeciarz przytrzymując się palcami brzegów czworograniastego otworu krzyczał do mnie przez nos:

— A no, — a cóż tam panie Krystyanie — czy mamy co nowego?

Na co ja odpowiadałem:

— A wejdźcież do licha, wejdźcie. Skończyłem właśnie mały widoczek... powiecie mi o nim parę słów.

Wtedy długa jego figura wyciągała się wyciągała... aż pod dach, i poczciwiec uśmiechał się w milczeniu.

Trzeba oddać sprawiedliwość Toubacowi że nigdy się ze mną nie targował. Kupował odemnie wszystkie obrazy po 15 florenów jeden w drugi,—a sprzedawał po czterdzieści. Był to uczciwy żyd.

Ten rodzaj życia zaczął mi się już podobać, i odkrywałem w nim coraz nowe powaby, kiedy poczciwe miasto Norymberga zostało zaniepokojone wypadkiem dziwnym i tajemniczym. Niedaleko od mego okienka, trochę na lewo wznosiła się oberża *Pod tłustym wołem*,—oberża stara ale bardzo tłumnie odwiedzana. Przed wrotami jéj stało zawsze trzy albo cztery wozy naładowane workami lub beczkami, bo wieśniacy z okolic przed udaniem się na targ zwykle tu wstępowali na szklaneczkę wina.

Front oberży odznaczał się szczególnym kształtem: był wązki, spiczasty, wycięty z obu stron w zęby piły: rzeźbienia cudaczne otaczały gzemsy i obwody okien. Ale co najwięcéj może zwracało uwagę, to dom stojący naprzeciwko który wpadał w oczy temi samemi ozdobami, temi samemi rzeźbieniami; pręt nawet do zawieszania szyldu kopiował te same krzywizny i linie spiralne,

Możnaby powiedzieć że dwie te rudery przeglądały się w sobie wzajemnie niby w lustrze; tylko że za oberżą wystrzelał wielki dąb którego ciemny liść służył za tło wyraźnie rysującym się liniom dachu, gdy tymczasem dom sąsiedni, konturami swemi odrzynał się od jasnego błękitu nieba. Zresztą o ile w oberży *Pod tłustym wołem* gwarno było i ruchliwie, o tyle w drugim domu zupełna panowała cisza. Z jednéj strony tłum gości pijących, śpiewających, potykających się, trzaskających z bicza, — z drugiéj spokój jakiś dziwny. Zaledwie raz lub dwa razy dziennie, otwierały się ciężkie drzwi tego milczącego domostwa, przepuszczając małą staruszkę zgiętą w półkole, z brodą naprzód wysuniętą, w sukni obciśniętéj koło bioder, z olbrzymim koszem w ręku, z pięścią drugiéj ręki silnie do piersi przyciśniętą.

Fizyognomia téj staruszki zastanowiła mnie już nie raz: oczy jéj małe zielone, nos cienki, zaostrzony, wielkie kwiaty jéj szala odwzorowane co najmniéj przed stu laty, uśmiech układający jéj w kokardę zmarszczki na obu policzkach i koronki czepca spadające na oczy—wszystko to wydało mi się dziwném, zajęło mię; chciałbym był wiedzieć, co ta stara robiła w swojem wielkiem pustkowiu.

Zdawało mi się żem tam odgadywał cały żywot dobrych uczynków i pobożnych rozmyślań. Ale pewnego dnia, kiedym się zatrzymał na ulicy, chcąc pogonić za nią oczami, odwróciła się nagle, rzuciła na mnie wzrokiem, którego strasznego wyrazu nie jestem w stanie opisać i wykrzywiła się potwornie trzy czy cztery razy; potem spuściwszy trzęsącą się głowę, podciągnęła wielki szal którego koniec wlókł się po ziemi i żwawo pobiegła do ciężkich drzwi, a zatrzasnąwszy je znikła mi z przed oczów.

— To stara jakaś waryatka, mówiłem do sie-

bie z osłupieniem—stara waryatka zła i chytra. Doprawdy!—niewiem po co się nią zajmowałem. Chciałbym namalować jéj minę—Toubac dałby mi za to chętnie piętnaście florenów.

Drwinki jednak nie bardzo mię zaspokoiły. Straszne spojrzenie staréj prześladowało mię wszędzie, i nieraz gdy pnąc się po prostopadłéj drabinie do mego legowiska zaczepiłem się gdziekolwiek połą ubrania drżałem od stóp do głów, zdawało mi się bowiem że to stara uczepiła się mnie chcąc zepchnąć w przepaść.

Toubac któremu opowiedziałem tę historyę, zamiast się śmiać przybrał minę poważną.

— Panie Krystyanie, jeśli stara cierpi coś do ciebie, strzeż się. Ma zęby małe, spiczaste i cudownéj białości—to nienaturalne w jéj wieku. Ma *uroczne* oczy. Dzieci uciekają na jéj widok, a ludzie w Norymberdze nazywają ją *Fledermaus* (*).

Oddałem hołd należny przezorności żyda, a słowa jego dały mi wiele do myślenia; ale po kilku tygodniach w ciągu których często spotykałem Fledermaus bez żadnych złych następstw, obawy moje rozproszyły się i więcéj już o staréj wiedźmie nie myślałem.

Pewnego wieczoru spałem sobie wybornym snem, kiedy obudziła mię dziwna jakaś harmonia. Był to rodzaj dźwięku tak słodkiego, melodyjnego, że szmer liści poruszanych tchnieniem wietrzyku, może o nim zaledwie słabe dać pojęcie. Długo przysłuchiwałem się téj muzyce wstrzymując oddech, ażeby nie stracić ani jednéj wibracyi. Nareszcie spojrzałem ku oknu, i spostrzegłem dwa skrzydła uderzające w szybę. Sądziłem z początku że to nietoperz uwięziony w moim pokoju; ale księżyc wyszedł z za chmury a na jego srebrzystéj tarczy zarysowały się skrzydła pysznego motyla nocnego, przezroczyste, niby najpiękniejsza koronka. Drgania ich były często tak szybkie że nie podobna ich było dostrzedz; potem odpoczywały na szkle rozpostarte, a delikatne ich żyłki znów wyraźnie widzieć się dawały.

To mgliste zjawisko pośród ciszy nocnéj, napełniło mi serce najsłodszém wzruszeniem; zdawało mi się że powiewna sylfida rozczulona moją samotnością, przyszła odwiedzić mię—myśl ta łzy mi z oczów wycisnęła. „Bądź spokojny piękny mój więźniu, bądź spokojny rzekłem do motyla; ufność twa nie będzie zawiedziona; nie myślę zatrzymywać cię mimo twéj woli; powracaj do nieba... do wolności.”

I otworzyłem okienko.

Noc była spokojna. Tysiące gwiazd błyszczało w przestworzu. Chwilę tak spoglądałem na ten widok cudowny, i słowa modlitwy przyszły mi na usta. Ale sądźcie o mojem osłupieniu, kiedy spuszczając oczy, ujrzałem wiszącego na pręcie szyldu *Pod tłustym wołem*, człowieka z rozwianemi włosami, rękami sztywnemi, nogami wyciągniętemi i rzucającemi cień olbrzymi aż w głąb ulicy.

Nieruchomość téj postaci oblanéj promieniami księżyca, miała w sobie coś strasznego. Czułem jak mi język sztywnieje, szczęki febrycznie dzwonią. Miałem już krzyknąć ale niepojęta jakaś siła zwróciła mi oczy niżéj, i dostrzegłem nie wyraźnie staruchę skuloną w oknie w pośród fantastycznych cieni, spoglądającą na wisielca z wyrazem szatańskiego zadowolenia.

Wtedy doznałem zawrotu przestrachu; siły mię opuściły; zaledwie zdążyłem się cofnąć do ściany i padłem zemdlony.

Niewiem jak długo trwał ten sen do śmierci podobny. Wróciwszy do przytomności, przekonałem się że to już jasny dzień. Mgły nocne przeniknąwszy do mego zakątka, pozostawiły mi na włosach krople chłodnéj rosy; niewyraźne odgłosy dochodziły mię od ulicy — spojrzałem przez okno.

Burmistrz ze swym sekretarzem usadowili się u drzwi oberży, gdzie długo pozostali. Ludzie krzątali się tam i napowrót, zatrzymywali się chcąc coś zobaczyć a potem szli w swoją drogę. Poczciwe kobieciny z sąsiedztwa, zamiatając ulicę przed swemi domami, patrzyły zdaleka i rozmawiały między sobą. Nareszcie ukazały się we drzwiach oberży niesione przez dwóch ludzi nosze, a na nich ciało człowieka przykryte prześcieradłem. Niosący ten ciężar, udali się w dół ulicą, a dzieci idące do roboty biegły za niemi z ciekawością.

Potem wszyscy się rozeszli.

Okno naprzeciwko było jeszcze otwarte, kawał sznura bujał się na pręcie: nie śniłem więc, widziałem istotnie motyla nocnego, potem wisielca, potem starą wiedźmę.

Tego samego dnia odwiedził mnie Toubac,— wielki jego nos ukazał się nad podłogą.

— Panie Krystyanie, czy macie co do sprzedania?

Nie słyszałem go. Siedziałem na jedynem krześle, obejmując obiema rękami kolana, z oczami utkwionemi przed siebie. Toubac, zdziwiony tem milczeniem powtórzył głośniéj.

— Panie Krystyanie! panie Krystyanie!

Potem wysuwając się z otworu, stanął przedemną i bez ceremonii poklepał po ramieniu.

— Cóż to, cóżto, co się tu dzieje?

— A to wy Toubacu?

— Do licha! tak mi się zdaje. Czyś pan chory?

— Nie.., ja myślę...

— O czemże u dyabła pan myślisz?

— O powieszonym!

— Ah, ah, zawołał tandeciarz, widziałeś więc pan tego biednego chłopca. Co za szczególna historya? trzeci w tem samem miejscu!

— Jakto?... trzeci?

— A tak. Powinienem był uprzedzić pana. Zresztą jeszcze na to czas; znajdzie się czwarty który zechce pójść za przykładem tamtych; najtrudniejszy początek.

Mówiąc to Toubac, siadł na rogu mego kufra, skrzesał ognia, zapalił lulkę i z miną zamyśloną, puścił kilka kłębów dymu.

— Doprawdy, rzekł po chwili, nie jestem tchórzem, ale gdyby mi zaproponowano przepędzić noc w tym pokoju, wolałbym pójść powiesić się gdzieindziéj.

Wystaw sobie panie Krystyanie, że dziewięć czy dziesięć miesięcy temu jakiś poczciwiec z Tubingi, handlujący futrami, staje w oberży *Pod tłustym wołem*. Żąda wieczerzy, je dobrze, pije jeszcze lepiéj. Na nocleg prowadzą go do pokoju na trzeciem piętrze,—do zielonego pokoju jak go tam nazywają—a nazajutrz znajdują kupca powieszonego na pręcie szyldowym.

Ba! raz jeden!—niema co mówić, to się wszędzie przytrafić może. Spisują protokół i grzebią umarłego w głębi ogrodu. Ale oto w sześć tygodni potém, przyjeżdża dzielny wojskowy z Newstadt. Dano mu zupełne uwolnienie, a wesoły kamrat cieszył się nadzieją zobaczenia swéj wioski. Przez cały wieczór, wychylając szklanice mówił tylko o swéj kuzynce która miała z nim pójść do ołtarza. Poprowadzono go nareszcie do łoża które zajmował handlarz futer, a téj saméj nocy strażnik przechodzący przez ulicę *Minnesaengerów* spostrzegł coś na końcu żelaznego pręta. Podnosi latarnię: i widzi wojskowego, z dymisyą w żelaznem pudełku na pasku przez plecy przewieszoną i z rękami wyciągniętemi wzdłuż szwów od spodni—niby na paradzie. (*d. c. n.*)

(*) Nietoperz.

---

## KORESPONDENCYA.

*Lwów w lipcu 1872 r.*

Miesiąc czerwiec był niegdyś dla Lwowa odznaczającym się miesiącem roku, jako pora kontraktów świętojańskich, w któréj miasto zupełnie odmienną przybierało fizyognomię, albowiem była tô pora zjazdu obywatelstwa ziemskiego, szlachty wiejskiéj z całéj prowincyi, co ze wszystkich stron wszystkiemi drogami śpieszyła, jak kto mógł, kałamaszkami, bryczkami i poczwórnymi ekwipażami, raz w rok o téj porze do Lwowa, aby tutaj załatwić główne interesa dzierżawne i tabularne, a przytém użyć choć przez dni parę wielkoświatowego powietrza, zajrzeć do teatru i modnych magazynów, zaopatrzyć się w rozmaite sprawunki, których tylko stolica dostarczyć mogła, a wróciwszy do domu cały już rok żyć wspomnieniem doznanych wrażeń i błyszczeć tém, co się ze Lwowa przywiozło. Rzeczy się zmieniły od czasu, gdy koleje żelazne zbliżyły prowincyę do głównego miasta i odkąd nowa organizacya sądownicza zdecentralizowała sądownictwo, a zamiast jednego trybunału we Lwowie utworzyła sądy pomniejsze we wszystkich powiatach, sądy zaś kolegialne po znaczniejszych miastach prowincyonalnych. Odtąd ustała potrzeba jeżdżenia do Lwowa w sprawach sądowych lub dla zawarcia kontraktu dzierżawy lub kupna i sprzedaży dóbr, bo wszystkie te sprawy załatwiają się w sądach powiatowych i w kancelaryi notaryalnéj na prowincyi. Natomiast skoro wypadnie interes do stołecznego miasta, to nie potrzeba czekać pory kontraktowéj, bo ułatwiona koleją żelazną komunikacya, dozwala w każdéj porze i kilka razy do roku przedsięwziąć tę podróż, która przy mniejszym koszcie stała się dziś raczéj rozrywką i przyjemnością niż trudem. Nie ma więc już dziś kontraktów — a raczéj są, ale że tak powiem, rozproszone na przeciąg całego roku giną jak kropla w morzu miejskiego życia, i nie nadają mu téj wybitnéj charakterystycznéj cechy, jak bywało zawsze w tym czasie.

Teraz Lwów gwarniejszy i ruchliwszy w porze sejmu lub zapust, niżeli w porze byłych kontraktów. Dzisiaj ściąga jeszcze ludzi do Lwowa w miesiącu czerwcu chyba walne zgromadzenie Towarzystwa gospodarskiego, na które przybywa z jakich kilkunastu delegatów oddziałów powiatowych, z miejsc bliżéj kolei położonych, lub zgromadzenie delegatów Towarzystwa kredytowego, które już bywają znacznie liczniejsze, zwłaszcza jeżeli ma się toczyć sprawa podwyższenia stopy pożyczek lub podniesienia kursu listów zastawnych; wreszcie wabikiem ożywiającym miasto w téj porze są wyścigi, ściągające w drugiéj połowie czerwca galicyjskich naszych sportsmenów do Lwowa. Kronikarz „Wieńca” zżymał się niedawno na bezużyteczność wyścigów. Sumiennie można mu zawtórować patrząc na skutki, jakie urządzane od lat wielu corocznie wyścigi we Lwowie dotychczas przyniosły. Rząd chcąc tym sposobem podnieść chów koni w kraju, wyznaczył nagrody. Towarzystwo tutejsze chowu koni, które przez kilka 10-ków lat swego istnienia dla podniesienia w kraju chowu koni zgoła nic a nic oprócz tych wyścigów nie uczyniło, urządza je co rok — dodaje i swoje nagrody do rządowych—i na tém koniec. Kilku bogatych panów, zaopatrzywszy się w zakupione za granicą

za grube pieniądze bieguny, popisuje się i wygrywa nagrody, ale do polepszenia rassy krajowych koni nie przyczyniło się to ani na jotę. Lepiéjby więc było mniéj wysiłków łożyć na wyścigi, a zwrócić uwagę na skuteczne sposoby dostarczenia dobréj rassy koni krajowi. Dla czego Towarzystwo gospodarskie, zajmujące się gorliwie ulepszeniem rass bydła, tak mało zwraca uwagi na konie, powiedzieć nie umiem. To pewna, iż mu poczytać tego za zasługę nie można.

Dajmy zatém pokój wyścigom, jako bezużytecznéj zabawce, a spojrzyjmy na ważniejsze przedmioty na dzisiaj. W księgarniach nic nowego w téj chwili; w teatrze pożegnaliśmy właśnie Modrzejewską, która szereg ról gościnnych, złożonych tym razem przeważnie ze Słowackiego i Dumasa, zakończyła *Adryanną Lecouvreur*. Skończyły się tedy chwile artystycznéj ekstazy i powtarzający się co wieczór ekspens bukietów i wieńców, a teatr powraca do dawnych pustek, które potrwają zapewne jak zwykle przez całe lato. Obecnie mamy jeszcze wystawę sztuk pięknych otwartą do końca bieżącego miesiąca, na którą niepodobna nie zajrzeć, choćby dla pobieżnego przeglądu.

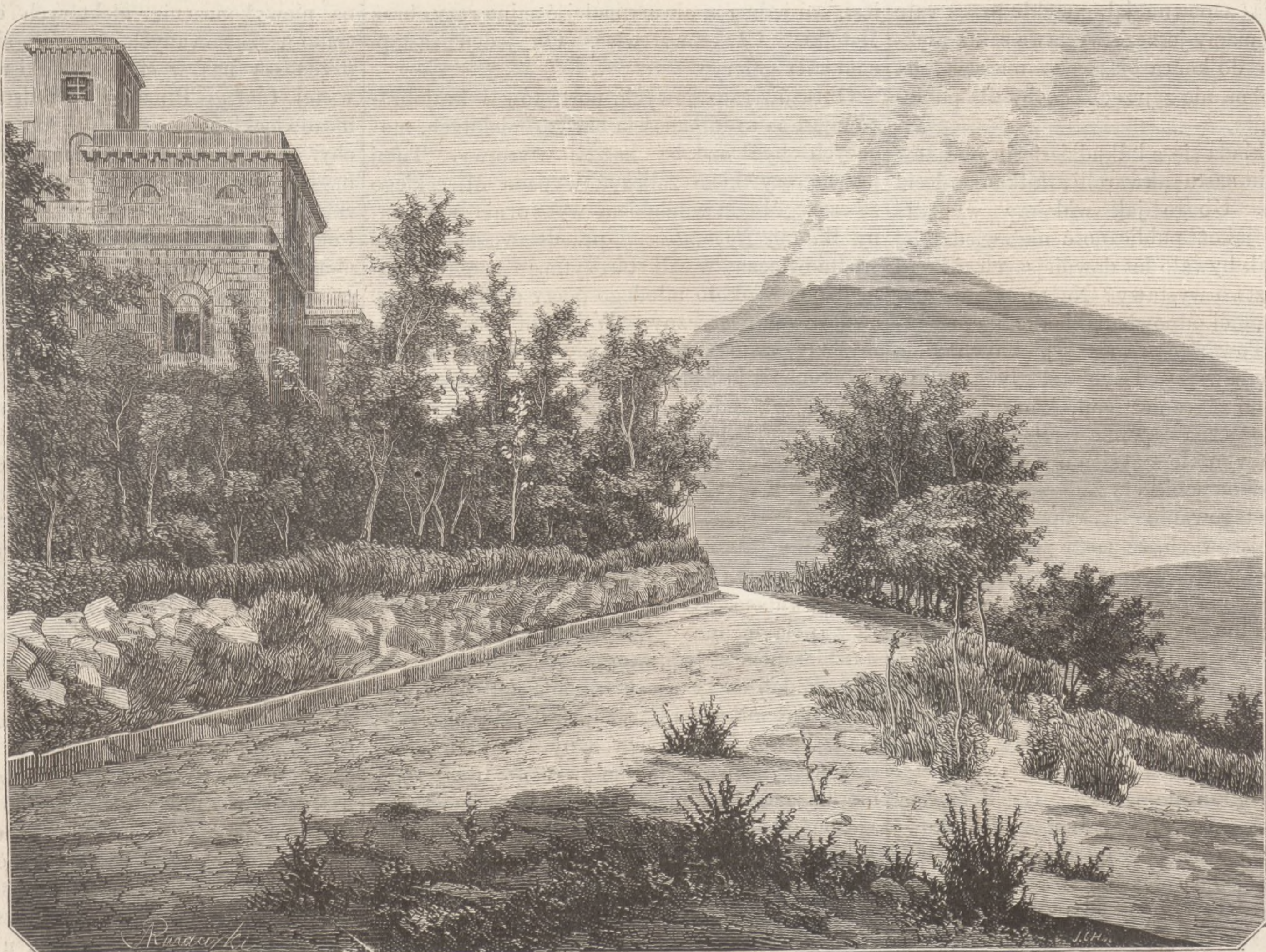
Wystawa składa się z kilkudziesięciu obrazów olejnych, kilkunastu akwareli, kilkudziesięciu rzeźb i rycin. Ubogo jak widzimy wypadła w tym roku; jakoż publiczność nie zwiedza jéj tak licznie, jak bywało lat dawniejszych. Zkąd pochodzi ubóztwo wystawy? Na to pytanie niepodobna dać innéj odpowiedzi, jak tylko przypisać dyrekcyi Towarzystwa sztuk pięknych winę, iż nie stara się zawiązać dosyć rozległych stosunków z artystami zagranicznymi, którzyby mogli świetnie każdoroczną zapełnić wystawę. Postępowanie takie wynikło z systemu z góry obranego. Powiedziano sobie, iż zadaniem Towarzystwa jest protegowanie artystów własnych, a zwłaszcza miejscowych, że zatém wystawy przez Towarzystwo urządzane mogą poprzestać na dziełach domowego pędzla, a starać się o dzieła artystów zagranicznych nie ma potrzeby. Nie wykluczono wprawdzie dzieł obcych, ale się też o nie nie starano, z czego wynikło, iż wystawa lwowska otrzymała istotnie cechę przeważnie swojską, składając się z dzieł artystów polskich, bo z obcych żaden znakomity prac swych bez zaproszenia i starań nie nadesłe. Cechą tą miała się lwowska wystawa wyróżniać od krakowskiéj, któréj zarzucano, iż zapełniała się przeważnie utworami pędzla obcego. W zasadzie dobra była myśl Towarzystwa opiekowania się sztuką swojską, lecz że złą ku temu obrano drogę, skutek okazał. Przez początkowych lat parę pracownie malarzy naszych dostarczały obfitego zasobu, albowiem widziane na innych wystawach obrazy, były zawsze jeszcze nowością dla Lwowa; ale w lat kilka zasób się wyczerpał, dzieła geniuszu nie rodzą się jak bławatki w zbożu, aby ich każdéj chwili na zawołanie spory pęk można uzbierać. I oto pokazało się jak byłoby dobrze zawiązać rozleglejsze stosunki i postarać się usilniéj o znakomite dzieła zagranicznych artystów. Na wszelki sposób nie byłoby to bez korzyści ani dla wystawy, ani dla publiczności, ani wreszcie dla artystów miejscowych. Wystawa zamiast uboższą, mogłaby co rok być równie świetną i bogatą — artystów pobudzałoby to do gorliwszego współzawodnictwa i nastręczało sposobność poznajomienia się z nowemi kierunkami szkół obcych, bez przedsiębrania podróży za granicę, a publiczności otwierałoby się rozleglejsze pole porównań i musiałoby przeto znacznie wpływać na wykształcenie smaku estetycznego. Są o zatém wielostronne korzyści, których lekceważyć lub nie widzieć niepodobna i jesteśmy przekonani, iż dyrekcya musi w tym kierunku rozszerzyć swe działanie, jeżeli chce zapewnić powodzenie przyszłym wystawom i odpowiedzieć zadaniom Towarzystwa.

Przejdźmy do szczegółów i przejrzyjmy pobieżnie przynajmniéj co znakomitszego. Na pierwszy rzut oka uderza brak dzieł religijnych i historycznych. Z religijnych jest parę kopij dobrych, a mianowicie bardzo piękna kopia Corregia *Zaślubiny Ś. Katarzyny* przez Gałuszkiewicza z Paryża i Gramatyki Antoniego z Wiednia kopia *Ś. Herminiusza* z Wandyka; ale pomimo zalet swoich, zawsze to tylko kopie, a w piersi artystów naszych zmrożonéj tchnieniem czasu i praktyczności dzisiejszéj, częstokroć na bardzo płaskim znajdującéj się poziomie, ostygł jak widać wzniosły duch natchnień biblijnych. Jeżeli tak mało znajdujemy na wystawie rzeczy religijnych, to obrazu historycznego nie ma *ani jednego*; tak jest, ani jednego; ale ma nadejść najnowszy obraz Matejki. Czekajmy więc. On jeden zastąpi nam całą galeryę.

Obrazów rodzajowych, portretów i krajobrazów jest za to kilkanaście bardzo pięknych, mogących być ozdobą każdéj wystawy. Tutaj przedewszystkiém zaliczyć wypada Mireckiego ze szczególnym wdziękiem wytwornie malowany *Wieczór Romantyczny*, przedstawiający grupę średniowieczną w sali starożytnego zamku zgromadzoną w około młodego poety deklamującego swój utwór poetyczny. W innym sposobie pomyślany, a odznaczający się prostotą układu i wykonania jest tegoż obrazek *Noc bezsenna*, na którym widzimy na ubogiém poddaszu samotne dziewczę, biedną szwaczkę jak po całonocnéj pracy znużona usnęła na chwilę mimowolnie nad robotą. Kozakiewicza Antoniego z Mnichowa *Sierota*, jest przecudnym obrazkiem pełnym melancholijnéj rzewności w pomyśle, odznacza się harmonią kolorytu, szczególniejszym przemawiającą powabem. O zmroku wieczornym powraca z pola biedne dziewczę w odartéj odzieży z uzbieraném zielem, którego pęk włóczy za sobą. Wdali na krańcach widnokręgu widać wioskę z kościołkiem i krzyż przed wioską, jakby godło losu sierocéj dziewczyny. W ten krzyż smętarny dziewczę smutne zwróciło oczy; obok niéj kroczy pies znużony, jedyny przyjaciel opuszczonéj; kres widnokręgu ozłocony odblaskiem słońca zachodzącego, rysuje się białawym szerokim pasem na tle szarzejącego wieczoru. Wszystko to tak piękne, harmonijne i urocze iż obrazek ten na długo pozostaje w pamięci widza. Nie tutaj miejsce zastanawiać się szczegółowo nad zaletami i wadami pojedynczych obrazów. Aby dać wyobrażenie o wystawie muszę poprzestać na wyliczeniu jedynie główniejszych rzeczy i zwróceniu uwagi na ogólne cechy. Walerego Eliasza *Odwiedzin Jana Zebrzydowskiego w pracowni Lekszyckiego* równie jak Wojnarowskiego *Mszy w kaplicy Batorowskiéj w katedrze na Wawelu* nie podobna uważać za obrazy historyczne, chociaż oba przedstawiają osoby z dziejów wzięte. Eliasz stara się kopiować żywcem naturę, jego postaci równie jak i wszystkie przybory w obrazie bywają starannie wykończone; technika pędzla wysoko posunięta; pomimo tego obrazy Eliasza nie są sympatyczne, brak im rzekłbym owego tchnienia poezyi, co zachwytem przemawia do duszy widza i potrąca strunę uczucia i wyobraźni. Koloryt bywa zbyt jaskrawy, za wiele w nim pstrokacizny, w ugruppowaniu brak powietrza, przestrzeni. Jego *Protazego* z poematu Mickiewicza, policzylibyśmy do najmniéj szczęśliwych, — występują w nim ujemne strony pędzla tego artysty silniéj niż w innych jego obrazach. Mamy za to prześliczne dwa obrazki Benzy, młodego artysty z Wiednia, z którym pierwszy raz spotykamy się na naszéj wystawie. Pierwszy przedstawia wycieczkę załogi z czasów średniowiecznych, a drugi bitwę. Są to raczéj szkice, ale arcydzieła w swoim rodzaju, tyle w nich życia, powietrza, z taką malowane brawurą i pewnością pędzla, iż przypominają dzieła najznakomitszych malarzy bitew. Wielki to talent, po którym ogromne można wróżyć nadzieje na polu sztuki. Pani Helon, Polka w Wiedniu zamieszkała, umie malować i ma uczucie poetyczne wiodące jéj pędzlem i nadające mu urok, którego zastąpić nie zdoła największa biegłość techniczna i mozolne studya. Jéj rozmarzona w cieniu altany dziewica, mająca być uosobioną *Idyllą*, porywa istotnie widza i unosi w sferę sielankowych marzeń, ton obrazu prześlicznie harmonizuje z pomysłem, i nie dozwala zwracać uwagi na niewykończenie niektórych części, z lekka tylko naszkicowanych. Ze sfery sielanki idealnéj przenoszą nas w sferę sielanki realnéj, rzeczywistéj *Umizgi* Pillatego, przedstawiające zaloty mazowieckiego parobczaka do pyzatéj dziewuchy. Sznur korali w ręku parobczaka ma być nagrodą całusa, o który chodzi. Wyborny obrazek w rodzaju flamandzkim, zdjęty z życia ludu i może swojskie przedstawiający typy. Dwa architektoniczne obrazy Gryglewskiego *Wnętrze kościoła Maryi Stiegen w Wiedniu* i *Komnata z XVIII wieku zamku w Podhorcach* należą do najpiękniejszych na wystawie. Gryglewski jest niezaprzeczenie najpierwszym u nas malarzem architektury, a w każdym jego nowym obrazie coraz większe jeszcze wyrobienie, delikatność pędzla i nowy widać postęp. Obok doskonale zachowanéj perspektywy w obrazkach, o których mowa, jakże mistrzowskie, jak piękne wykończenie szczegółów, przy niezmierném bogactwie barw, spływających jakby na harmonię tęczy! Obrazki Gryglewskiego zaledwie zostały rozpakowane, przed umieszczeniem jeszcze na wystawie znalazły już nabywcę. Pod względem perspektywy wyborny jest obraz Bryniarskiego przedstawiający *Wnętrze krużganków klasztoru franciszkańskiego w Krakowie.* Obraz ten posiada te same zalety perspektywy i malowany jest w tym samym sposobie co tegoż artysty *Wnętrze grobów na Wawelu*, znane nam z wystawy zeszłorocznéj. Przedmiot obrany bardzo się nadaje do uwydatnienia właściwości pędzla Bryniarskiego. Obok Gryglewskiego jest on można powiedzieć najlepszym u nas malarzem perspektywy architektonicznéj. Posiada pod tym względem nadzwyczajnie trafny rzut oka i umie rozkładem linij doskonale uwydatniać przestrzenie. Fabiański ubiegający się o posadę dekoratora w tutejszym teatrze, dał dwa projekta widoków dekoracyjnych, w których obok wdzięku i bogactwa kompozycyi jest także umiejętny rozkład perspektywy. Próby te kompozycyą i wykonaniem wkraczają już w dziedzinę artystyczną i okazują, że p. Fabiański nie jest zwykłym malarzem kulisowym. Z krajobrazów mamy Szuppego *Widok Nowego Targu*, który jakkolwiek nie jest jedném z najlepszych dzieł tego artysty, posiada wiele piękności, znamionuje biegłość pędzla i trafne poczucie natury w rozkładzie światła i powietrza. Na pierwszy rzut oka poznać można dzieło wytrawnego i studyującego artysty. Maleszewskiego *Las w Mendozie pod Paryżem*, odznacza się pięknem ugruppowaniem drzew. Kilka pomniejszych krajobrazów pani Anny Baar z Wiednia przedstawiających widoki alpejskie z okolic Salzburga i Tyrolu, okazuje że artystka

umie malować i przeszła dobrą szkołę. Nie można tego powiedzieć o krajobrazie większych rozmiarów Jaroszyńskiego z Krakowa, w którym pstrokacizna kolorów ma zastąpić rozmaitość i żywość barw przyrody, a sarny do cielat podobne. W obrazie tym znać dylletanta nie znającego szkoły i nie umiejącego zastąpić braku jéj własnemi studyami i poczuciem artystycznem. Krajobrazy Maleckiego i Grabińskiego poznać na pierwsze wejrzenie, każdy z nich ma swój właściwy sposób, swą manierę zwłaszcza w kolorycie, cechującą wybitnie ich obrazy. U Maleckiego widok pierwszego planu występuje w mocnych zarysach i uwydatnia się może naszym kapłanom pędzla, zastępującym chętnie studya talentem i natchnieniem. W portretach Sidorowicza pięknie i gładko malowanych nie widzimy postępu w porównaniu z jego portretami dawniejszemi. Raczyńskiego od lat kilku nie widzieliśmy na wystawie. W tym roku dał *Portret Wincentego Pola* w naturalnéj wielkości otoczony bluszczami, i dwa inne pomniejsze. Nie mogą one wytrzymać porównania z portretami Grabowskiego, malowanemi śmiało i wyraziście; zwłaszcza portrety mezkie, twarze, w których przemaga wyraz siły charakteru, wychodzą bardzo dobrze z pod pezla Grabowskiego. Za najlepszy wszakże uważałbym Godlewskiego czytujący przy świetle lampy wokandę zawierającą dlań tyle wspomnień przeszłości. Postać pojęta trochę przesadnie, niemniéj przeto obrazek ten znajduje wielu lubowników i będzie zapewne zakupiony przez Towarzystwo do wylosowania. Inny mały obrazek Leopolskiego przedstawiający krówkę u wrót zagrody wiejskiéj, byłby miłym bardzo obrazkiem, gdyby bohaterka téj sielanki, krowa, lepiéj była narysowaną.

Tepa jest najlepszym naszym akwarellistą. Rzecz to znana nie od dzisiaj. Ma on w tym względzie sławę ustaloną, a potwierdzają to w świetny sposób cztery obecnie wystawione akwarelle. Jedna z nich, portret generała Ż., by-



Obserwatoryum Palmieri'ego, na pochyłości Wezuwiusza.

trochę za nadto na tle czarnego podniebia; u Grabińskiego życzylibyśmy sobie więcéj rozmaitości w kolorycie. Bardzo to utalentowany młody artysta, który ma wiele czasu i rozległe pole przed sobą. Z Grabińskim przechodzimy do artystów miejscowych, a tém samém wkraczamy w dział portretów, bo nie wiem dla czego, i nie wysnuwam uwag czy to źle czy to dobrze wróży o postępie sztuki u nas, ale malarze lwowscy malują najwięcéj portretów. Z potrzeby czy gustu, dosyć że to jest rodzaj najwięcéj u nas uprawiany i to nie od dzisiaj. Wyjątek stanowią akwarelle Tepy i Leopolski, malarz pracowity, w którego obrazach ostatniemi laty znać wielki postęp, staranność i pracę, na czém częstokroć zbywa portret mężczyzny siedzącego, w naturalnéj wielkości. Wprawa pędzla, wymodelowanie pojedynczych części, a zwłaszcza wyraz duszy przemawiający jakby z żywego oblicza, stawia ten portret wyżéj nad inne i nadaje mu wartość znakomitego utworu artystycznego. Tegoż malarza *Dziewczyna wołoska* jest w swoim rodzaju nie mniéj pieknym obrazem, chociaż zarzucają mu błędy w rysunku ręki. Obraz ten zyskał wielkie pochwały na wystawie sztuk pięknych w Wiedniu. Portrety Leopolskiego różnią się od innych sposobem malowania właściwym temu artyście, przypominającym najnowszą szkołę francuzką. Oprócz portretów jest jeszcze Leopolskiego *Protazy* z Poematu Mickiewicza odła na wystawie powszechnéj w Paryżu. Drugą przedstawiającą spoczynek w południe rolnika orzącego swą niwę, ów pług zaprzężony czterema wołami spoczywającemi po pracy w skwarze letnim, znany także z dawniejszéj wystawy. Dwie inne są nowe, przeznaczone na wiedeńską wystawę akademii sztuk pięknych, dokąd Tepa co rok wysyła swe prace, znajdujące tam chętnych nabywców. Dwa obrazki, o których mowa zdjęte z natury, przedstawiają dwa odmienne typy dwóch odmiennych podniebi, odmiennych światów. Na jednym w cieniu kolczastéj karłowatéj palmy, spoczywa dwóch Arabów ogorzałych skwarem afrykańskim—na drugim pod wierzbą podolskie chłopię, mały pastuszek pasie

gęsi. Tam widnokrąg płonie gorącém słońcem i żarzy jaskrawo, tutaj szare mgliste niebo otula podobnież szarą omglony atmosferą widok okolicy podolskiéj. W obu obrazkach sposób malowania odmienny, zastosowany do natury przedmiotu. Widok pustyni afrykańskiéj, w któréj się gubi wzrok pod żarem słonecznym, malowany jakby doryweczemi szerokiemi rzutami pędzla— twarz podolskiego pastuszka z miniaturową wypracowana starannością. Tepa przygotowuje kilka większych obrazów na przyszłoroczną wystawę powszechną wiedeńską.

pyszne popiersie Mickiewicza z marmuru dłuta Filipa d'Angers, od rodziny poety nabyte do muzeum Zakładu imienia Ossolińskich przez zmarłego kuratora ś. p. Jerzego Lubomirskiego, tudzież popiersie Stefana Czarnieckiego z terracotty współcześnie z natury wykonane, jak świadczy napis i inne cechy tego cennego zarówno pod względem archeologicznym jak i artystycznym dzieła. Jest to także własność Zakładu Ossolińskich.



Tycyan i Karol V-ty. Kopia z obrazu Beckera.

Wymieniliśmy tu tylko znakomitsze obrazy. Jest ich więcéj, godnych bliższego rozpatrzenia, ale przegląd nasz pobieżny nie dozwala zatrzymywać się nad niemi i zastanawiać obszerniéj. W sprawozdaniu objętém ramami korrespondencyi zmuszeni byliśmy pominąć nawet i takie rzeczy jak Kossaka, głównie z téj przyczyny, iż są one znane publiczności warszawskiéj, jak jego *Koń nad poległym jeźdźcem* czyli *ostatni przyjaciel*. Zbiór rzeźb jest o wiele bogatszy niż lat dawniejszych. Pierwsze tu miejsce zajmuje prze-

## LITERATURA ZAGRANICZNA.

La fin du monde p. Étienne Baudry, préface par Ed. Laboulaye. Paris, E. Dentu, 1872.

„Skończenie świata!"... Nie obawiaj się czytelniku... *La fin du monde* jest poważnym traktatem społeczno-ekonomicznym, poświęconym kwestyi wywozu żywności i drobieniu własności ziemskiéj we Francyi. Jeżelibyśmy jednak, wbrew definicyi powyższéj, nazwali dzieło pana Baudrego pamfletem, pełnym uprzedzeń namiętnych i paradoksów, to i w takim razie nie rozminęlibyśmy się z prawdą. Zkądinąd sam już tragikomiczny tytuł książki pozwala wnosić, że autor pisał ją pod wpływem wrażeń nie zupełnie posępnych. Charakter wykładu potwierdza to przypuszczenie. Pamfleciarz-ekonomista przeobraża się co chwila w humorystę. Na każdym kroku spotykamy u niego ostateczności; co chwila szermierz społeczny walczy bronią dowcipu, a najczęściéj dosiada gryfa wyobraźni, który go nieraz aż do sfer niedorzeczności unosi. Francuzi celują w tym rodzaju pisania. Za przykład podobnéj żartobliwości naukowéj posłużyć może Fryderyk Bastiat, którego pisma, urągające protekcyonistom w nader dowcipny sposób, znalazły wbrew sprzeczny sobie *pendant* w dziele, o którém mówimy obecnie.

A jednak pomimo troisty charakter naukowego traktatu, pamfletu i utopii, dzieło p. Baudrego porusza wiele zadań niezmiernie ważnych, które

nietylko Francuzów obchodzić winny i nietylko zwyczajnym czytelnikom, ale i mężom stanu wiele do myślenia dać mogą. Pod skończeniem świata autor rozumie upadek przemysłu, dobrobytu i cywilizacyi, jako następstwo swobodnego wywozu żywności i upadku większéj własności ziemskiéj w kraju przeważnie rolniczym. Za taki kraj uważa on Francyę, pomimo sławy jéj rękodzieł i rozrzuconych po całym świecie rynków. Przypatrzmy się bliżéj twierdzeniom i wnioskom autora. Dla większéj zwięzłości wykładu mówić będziemy w imieniu p. Baudrego, używając zaimka *my* zamiast *Francuzi*.

Najwymowniejszym dowodem ciemnoty naszéj, powiada p. Baudry, jest narzucenie sobie prawa dowolnego wywozu za granicę najlepszych i najczystszych produktów pokarmowych: mięsa, masła, drobiu, warzywa i jaj.

Nic nie ma gorszego nad mniemane „pojęcia ogólne," które zmieniają się w zasady, dosięgające następnie znaczenia bezwarunkowych pewników. Z pojęć tego rodzaju najniebezpieczniejszém i najbardziéj rozpowszechnioném jest to, że im więcéj kraj *wywozi*, tém jest bogatszy. Czy jest co fałszywszego?.. Kraj może być doprowadzony do wywożenia rzeczy niezbędnych, a natenczas im więcéj wywozi, tém bardziéj ubożeje. Taki e jest właśnie położenie Francyi. Sąsiedzi jéj (Anglicy), w zamian za rzeczy niezbędne, dają nam przedmioty zbytkowe i nieużyteczne, a kiedy niejeden z nas nie ma najlichszéj strawy, rynek nasz zalewają cudzoziemskie błahostki. Bogacze i miłośnicy fatałaszek radzi są z tego; lecz dla spożywcy-robotnika, mającego tyle tylko pieniędzy ile zarabia, nieograniczona wolność wywozu jest klęską i najpewniejszą ruiną.

Francya jest krajem wyłącznie rolniczym. Tymczasem rozgłoszono, żeśmy pierwsi rękodzielnicy w świecie. Okrzyczeliśmy więc swobodną konkurrencyę — i zostaliśmy na lodzie. Traktat handlowy (1861) zrobił nas narodem poszczącym. Żyjemy źle, jadamy źle, pijemy źle; brzuchy opadają, rasa wątleje, wzrost się zniża, krew ubożeje, substancya mózgowa psuje się i umysł karłowacieje. Inaczéj postępują Anglicy, i dla tego mocniejsi są i pracowitsi.

Lecz za to, co biorą od nas—płacą... Więc wzbogacamy się?

Nieprawda. Wzbogaca się tylko chłop (*), albowiem on jeden produkuje i zaopatruje rynki. Dla was zaś, negocyanci, kapitaliści, komissanci, stolarze, tkacze, mechanicy, artyści, urzędnicy, którzy nie produkujecie ani zboża, ani nabiału, ani mięsa, nadejdzie czas, gdy dzięki swobodzie wywozu, wszystko co zarabiacie nie wystarczy na zakupienie żywności dziennéj.

Drożyzna się wzmaga w sposób zastraszający. W r. 1870, przed plebiscytem, w czasach kwitnącego pokoju, ceny dorównywały oblężniczym. Za kurczę płacono około 10 fr., za królika 4 fr., za tuzin jaj (w Kwietniu) 1 fr. 10 cent.,—i nie dziw: — wszak w przeciągu jedenastu miesięcy 1869 r. wprowadzono do Anglii na 675 milionów franków artykułów żywności i wszystko to prawie dostarczyła Francya. Cierpimy głód karmiąc innych, skutkiem czego zdrowie, którém cieszą się nasi sąsiedzi, nam nie dopisuje. Wolność przemysłu nie powinna posuwać się do podkopywania zdrowia publicznego. Wtenczas tylko moglibyśmy żywić cudzoziemców, jeżeliby krajowcy byli syci i nie obawiali się głodu na dni następne. Zkądinąd pieniądze, które otrzymujecie od Anglików, zwracacie drugą ręką tym samym Anglikom za ich bawełniane tkaniny, za noże, kapelusze, machiny i drobiazgi. Wartość tych towarów jest nader rozmaita. Dla siebie Anglicy wyrabiają przedmioty trwałe; przeznaczone zaś dla cudzoziemców nie powinny mieć téj zalety.

Zachodzi jeszcze pytanie, czy mamy wszystko we Francyi, ażeby się obejść bez Anglików, skoroby ci, w odwet za odmówienie artykułów żywności, odmówili nam produktów własnego kraju? Tak jest—wszystko. Francya ma zboże, wino, wyborny koniak, mięsa dwa razy tyle ile potrzebowałaby na ludność całą, ma sery i masło, ma ostrygi, trufle, oliwę i ocet, cukier, tytuń, owoce i ogrodowiny, jedwab, wyśmienitą kawę kolonialną, mogłaby mieć bawełnę z Algeryi, ma płótno, skóry i wełnę, ma żelazo i węgiel kamienny, sól kopalną i morską, wyborne wody mineralne, drzewo i marmur. Tak jest—wszystko to mamy u siebie, a tymczasem chcą wmówić w nas korzyści traktatu handlowego z krajem, który nie dałby nam ani kawałka chleba, ani jednego kotleta na wypadek głodu. Anglia zabiera nam wszystko, a nie oddaje nic, bierze sobie mięso, a wraca nam sierść krowią. Pomimo to uważamy za wielkie ze strony Anglików ustępstwo przyjmowanie od nas bez opłaty cła żywności, któréj im brakowało. Przez wdzięczność za przyjęcie naszego bydła stroimy się w ich bawełnę. I kiedyż nam będzie dość tych brzytew i kołder z krowiéj sierści?!...

I któż jest panem położenia? kto zbiera plon? Na pytania te autor z większą namiętnością niż słusznością odpowiada: *chłopi*,—gdyż wszyscy chłopi są właścicielami ziemskimi, i nikt im rozkazywać nie może.

Wielu z publicystów francuzkich patrzy na chłopa jako na istotę przykutą do ziemi i potem swym użyźniającą niwę próżniaka—pana, spoglądającego z założonemi rękoma na zboże zasiane dłonią biednego proletaryusza.

Nie wiedzą o tém, że rewolucya głoszona przez nich dawno jest dokonana.

Chłop słucha i śmieje się.

Przed 1851 uważano za niebezpieczne wydawać więcéj niż wynosił dochód majątku. Panowie wiejscy żyli zaszczytnie, lecz skromnie na własnéj roli. Deputowani konstytuanty 1848 r. uważali się za bardzo hojnych, przeznaczając Prezydentowi Rzeczypospolitéj 50,000 fr. na miesiąc. Prezydent został cesarzem i podniósł koszta utrzymania swojego do 100,000 fr. dziennie. Za przykładem z góry marnotrawienie stało się potrzebą, a wynalezienie pieniędzy *quand même*—rzeczą najważniejszą.

Potrzebowano pieniędzy... Celem dostania ich sprzedano część ziemi. Kupił ją chłop.

Panowie—właściciele stowarzyszyli się z graczami i oszustami, i nie zawahali się pozbyć się dziedzicznych posiadłości, ażeby zostać akcyonaryuszami.

Skutkiem zakupienia większéj ilości ziemi, chłop znalazł robotę zabierającą mu większą część czasu,—odtąd więc panom ofiarować mógł znacznie mniejszą, i pola ich, choć uszczuplone, nie mogły znaleźć rąk do uprawy. Pan, ażeby nie zostawić roli odłogiem, zmuszony był sprzedać jeszcze więcéj. Kupcem znowu był chłop. Część tę zakupili wyrobnicy dzienni (parobcy), którzy uprawiali pola pozostałe panom. Po nabyciu własności każdy z nich czas swój poświęcił swojemu zagonowi. Oczywiście czas ten całkowicie stracony został dla panów.

Natenczas więksi posiadacze—w krzyk. Zarzędzono śledztwo, które przekonało, że chłop, dostatecznie zaopatrzony ziemią, ani chce ani może uprawiać pól pozostałych w ręku panów.

Przed laty dwudziestu pięciu najemnik folwarczny pobierał fr. 200 na rok, dzisiaj pobiera około 600. Wyżywienie jego kosztuje również trzy razy więcéj niż dawniéj, tak, że utrzymanie parobka wymaga około 1,800 fr. wydatku.

Odkąd przekonano się, że z coraz większą własnością ziemską człowiek staje się coraz uboższy, odtąd chęć zostania większym posiadaczem znikła. *(d. c. n.)*

(*) Pod nazwą „paysan" autor francuzki rozumie drobnego posiadacza ziemskiego, uprawiającego *własnoręcznie* swą rolę. O całéj téj klassie p. Baudry odzywa się z pewną niechęcią. Zbiorowa nazwa „bourgeois" obejmuje u niego nietylko mieszczan, lecz w ogóle wszystkich, których wieśniacy nasi nazywają *panami*. Do kategoryi téj należą więksi posiadacze ziemscy, kapitaliści, właściciele nieruchomości miejskich, urzędnicy, notaryusze, adwokaci, lekarze, artyści i t. d. Uznaliśmy za najwłaściwsze nazywać ich *panami* w najrozleglejszém znaczeniu tego wyrazu. Po za dwiema powyższemi klassami pozostają *ouvrier'owie*, t. j. robotnicy.

## Z PODRÓŻY.

### I.

W znikomych i zawsze względnego znaczenia sprawach ludzkich nie ma nic ani zupełnie ważnego, ani całkowicie błahego. Nie chcę przez to wypowiadać bardzo starego zdania, że wszystko ma strony dodatnie i ujemne; lecz stosując powyższą zasadę do kilkugodzinnéj podróży koleją warszawsko-wiedeńską do granicy, sądzę, że i o niéj za każdym razem możnaby powiedzieć coś nowego i niezupełnie błahego. Nie będę wprawdzie naśladował owego zbyt płodnego powieściopisarza, którego opowiadanie poczyna się w wagonie dla niepalących, którzy chociaż w rzeczywistości są palącymi, postanawiają jednak wyrzec się na kilka godzin przyjemności tytuniowéj, a to dla widoków matrymonialnych... I oto z woli wszechmocnego autora, istotnie między tymi poszukiwaczami szczęścia zjawia się para „aniołkowatych" istotek, i naturalnie wszyscy niepalący palacze od razu czują w swych piersiach płomienie amora, będące punktem wyjścia dalszych starań... Wszystko to mogliście już czytać w owéj powieści, któréj tytułu nie potrzebuję wymieniać.

Nie będę również rozszerzał się o stacyach i przystankach, o narzekaniach na przepełnienie i gorąco, o sporach w kwestyi użyteczności lub szkodliwości otwierania przeciwległych okien wagonu i o pocieszających (z ekonomicznego punktu widzenia) objawach oszczędności, która p. X. skłania do zapełnienia połowy wagonu kilkunastu tłomokami i węzełkami, a panią Y. pobudza do śmiałego ujmowania lat swoim córeczkom podlotkom, a nawet do brania na kolana 14-letnich dziewcząt, ażeby wbrew protestacyom konduktora, skorzystać z literalnego brzmienia przepisu, który dzieci na kolanach trzymane od wszelkiéj opłaty zwalnia. Nakoniec zaniecham już przez innych podnoszonych jeremiad na rozkład pociągów, według którego do Pruss można dwa razy dziennie jechać, a do Austryi jeden tylko pociąg idzie i to pospieszny, w skutek czego ci, którzy chcieliby jechać 3-cią klassą, muszą koniecznie jechać 2-gą. Regulamin ten przedstawia jednakże, należy to wyznać, tę dogodność, że podróżni mogą być prawie całkiem wol ni od hałaśliwego towarzystwa kupczących i handlujących indywiduów, które nieustannie pomiędzy sobą o swych interesach gwarno rozprawiają: panowie ci nie lubią jeździć pospiesz-

nym pociągiem, gdzie nie ma III klassy, i tylko konieczność zmusza do tego mniéj oszczędnych i w każdym razie „porządniejszych." W zwykłych bowiem pociągach nie ma innego środka dla jadących III klassą, jak podrożować w sobotę; komu niezbyt pilno i może dzień ten wyznaczyć, niech tę radę odemnie przyjmie. Spostrzegam się, że od krótkich wzmianek o tém, o czém mówić nie mam, przechodzę do dorywczych spostrzeżeń. Oto kilka z nich:

Zamaszysty Podlasianin z trzema córeczkami zasiada w wagonie. Niedługo z trojga różowych usteczek dowiadujemy się, że panienki dopiero po raz pierwszy w życiu jadą koleją; domatorstwo chwalebne, nawet przy szczupłéj u nas liczbie linij żelaznych, nawet przy młodym wieku—inaczéj powiedzieć nie mogę—trzech gracyj: *domi manent, lanam faciunt.* Z niemniejszą, a prawdziwie słowiańską, skorą do wylania się otwartością, szanowny papa uwiadamia po raz pierwszy w życiu widzianych towarzyszy podróży, że przed kilku dniami musiał zrobić sąsiadowi przyjacielską przysługę i ścigać jego syna, który zabrawszy kilkanaście tysięcy, czmychnął za granicę. Powstała ztąd w wagonie żywa dysputa: jedni twierdzili, że to lepiéj, iż ojca okradł syn własny, niż kto inny; drudzy przeciwnie, usiłowali udowodnić, że tém ci gorzéj. Argumentów stron obu przytaczać nie będę: było tam coś o „obywatelskiém wychowaniu", a zresztą dowody *pro* i *contra* dawno znane.

W drugim kącie wagonu zasiadło dwóch przyjaciół: jeden widocznie „Warszawiak," drugi „prowincyał." Panowie ci głośną prowadzą rozmowę, i snadź obydwaj są pessymiści, a może należą do humorystów i satyryków, gdyż na wyścigi wytykają braki i ujemne strony: jeden Warszawy, drugi rodzinnego swego miasta. Warszawianin usiłuje przekonać swego towarzysza, że w Saskim ogrodzie niewolno opierać się o baryery tam, gdzie stojące przy nich ławki pozbawione są poręczy, i że w tym celu baryery wysmarowano sadzą; że tamże kobiety, w interesie bufiastych przednich i tylnych ozdób swych sukień, postarały się o prenumerowanie miejsc na ławkach na ten koniec, ażeby na jednéj niewolno było siadać więcéj niż trzem kobietom, albo jednéj kobiecie i dwom mężczyznom, albo nakoniec dwom kobietom, a jednemu mężczyźnie; prawi daléj tenże o rozmaitych gatunkach warszawskiego bruku, dających się obserwować przez podziurawione dna omnibusów, a mówiąc o chodniku po lewéj stronie ulicy Bednarskiéj, wspomina coś o narzędziach Ś. Inkwizycyi; nicuje nawet Szwajcarską dolinę, a na usprawiedliwienie nieraz już przez pisma wytykanéj drożyzny, która w tamtejszéj restauracyi panuje, przytacza autentyczną niby replikę kelnerów że: „gdyby było taniéj, to niktby tutaj nie jadł i nie pił, bo tacy tylko przychodzą co drogo płacić lubią" (?); nakoniec warszawski satyryk porusza kwestyę stosunku filozofii do marności tego świata i zarzeca „słowem honoru", że na ulicy Bielańskiéj wyraźnie na szyldzie stoi: „Filozof wekslarz." Przyjaciel z prowincyi mówił z kolei Warszawianinowi o swojém mieście rodzinném, którego ulice upstrzone szyldami przeważnie hebrajskiemi, przypominają wschodnie grody lub ulice Luksoru; krytykował szumne cenniki tamtejszych hotelów, w których nigdy nie można dostać wymienionych artykułów i t. d. Nie wiem ile było prawdy a ile przesady w tych obustronnych jeremiadach, nie mogłem ich dosłuchać do końca z powodu, że inny znowu olbrzymiéj tuszy jegomość, nastroiwszy głos do skali koniecznéj dla przytłumienia turkotu kół, a tém samém i mowy towarzyszy podróży, opowiadał sąsiadowi dowcipny sposób żądania reszty od chłopaka, wodę na stacyach sprzedającego. „Wypiwszy dwie szklanki wody, mości dobrodzieju, prawił otyły jegomość, a nie mając należnych za nie dwóch groszy, dałem chłopcu dziesiątkę, a że i on reszty nie miał, zmusiłem go więc do wypicia za te ośm groszy ośmiu szklanek wody." Sąsiad i niektórzy towarzysze podróży wybuchli szczerym śmiechem, podziwiając samorodny i oryginalny dowcip jegomości. Sługa wasz podobnież po raz pierwszy coś podobnego słyszał. Wywołało to we mnie jakieś niewyraźne wspomnienie o pokrewnym obyczaju Botokudosów czy Karaibów; ale właśnie gdym naprózno usiłował sobie przypomnieć dokładnie ów szczegół, wyczytany bądź w Tryplinie, bądź w Arago lub „Le Tour du Monde," lokomotywa świsnęła przeraźliwie, i pociąg stanął na stacyi. „Niewolno nawet księdzu," zabrzmiał głos konduktora. Wychyliwszy głowę, ażeby dowiedzieć się co ów okrzyk oznacza, przekonałem się, że był on wystosowany do osoby duchownéj, która w braku miejsc innych chciała usiąść w damskim przedziale. Nie mogłem jednak dobrze zrozumieć, czy to w przekonaniu osoby interesowanéj, czy konduktora, czy też obudwóch, księdzu więcéj należałoby dozwolić niż innym. Pociąg rusza daléj i oto przebywamy Saharę w miniaturze zalegającą okolice Szczakowy i Granicy. O Szczakowie dla wiadomości amatorów kawy, którzy chcieliby pogodzić zamiłowanie do tego trunku z oszczędnością, nadmienię to tylko, że kawa ze śmietanką płaci się tu 40 (wyraźnie czterdzieści) centów, czyli podług obecnego kursu, 27 kopiejek czyli 54 grosze! Jesteśmy nakoniec w Austryi. Narzekano nieraz na powolność pociągów idących od granicy do Krakowa; słuszność nakazuje wyznać, że obecnie bieg ich nieco prędszy i przebycie 7 mil wymaga już tylko $2\frac{1}{2}$ godzin, gdy dawniéj potrzeba było $3\frac{1}{2}$ do 4 godzin.

O Krakowie niewiele mam do powiedzenia. Najważniejsza okoliczność—to napływ podróżnych w obecnéj porze i ztąd brak miejsca w hotelach. Stanął wprawdzie jeden nowy hotel „Victoria", ale i to niewiele pomaga, a panowie właściciele hotelów ciągle podnoszą ceny, biorą snadź wzór z Wiednia, ale już nawet prześcignęli swój pierwowzór; dość powiedzieć, że za mały pokoik na jedną osobę w hotelu wcale nie pierwszorzędnym płaci się rubla.

Agitowały się podczas mego w Krakowie pobytu jakieś tam wybory, podobno do rady miejskiéj, ztąd sążniste polemiki w dziennikach i na rogach ulic listy kandydatów z przypomnieniem solidarności (sic), ale na podobnych rzeczach znając się niewiele, żałuję, że nie mogę o tém więcéj powiedzieć. Jeszcze mniéj znam się na znaczeniu i cechach krakowskich i galicyjskich partyj i partyjek, których tu niebrak podobno; uderzyła mię tylko nazwa „strzelcy" figurująca w dziennikach, jako miano jakiéjś nowonarodzonéj zapewne partyi, chociaż nie zdołałem dojść do jasnego o niéj pojęcia.

Cóż jeszcze? Oto wtedy właśnie pojawiła się w Krakowie ospa i nakoniec... zaczął padać kilkodniowy deszcz. Domyślam się, że padał on i w reszcie Galicyi, wnosząc z dzienników, które donosiły, „że powietrze jest *przekropne*," choć to tylko mój domysł, gdyż wyraz: przekropny, z nieznanego mi języka wzięty, zapewne i dla was byłby zagadką.

Dalsze koleje wędrówki, do losów Odysseja nieco podobne, opiszę, *si dabitur*, w następnych listach. *L. S. W.*

## TYCYAN I KAROL V-ty.

W roku w którym postanowiony został upadek Rzeczypospolitéj florenckiéj weszła także na horyzoncie sztuki świetna gwiazda malarza weneckiego a ten sam monarcha któremu Włochy zawdzięczają swój polityczny rozkład, nie mało się przyczynił do szczęśliwego rozwinięcia ich artystycznéj działalności. Epoka ta głęboko musiała być przeniknięta uczuciem piękna, kiedy nawet despoci czynili ofiarę ze swéj dumy na ołtarzu sztuki. Dowodzi tego cały stosunek cesarza Karola V-go, do Tycyana. Pozostawiając dziejopisom sztuki szczegóły téj charakterystycznéj przyjaźni między dwoma władcami dwóch różnych światów, ograniczamy się na przytoczeniu zdarzenia które malarz Becker wziął za przedmiot podanego tu w kopii obrazu. Wpośród dworzan przybranych w aksamity i jedwabie, otoczony najpiękniejszemi i najznakomitszemi kobietami owego czasu, które śpiewem i grą na gitarze utrzymywały ciągle w około cesarza podniosły artystyczny nastrój, siedzi Karol V-ty cierpliwie przed portretującym go Tycyanem,—gdy w tém genialnemu malarzowi, w ferworze pracy, wypada pędzel z ręki. Zanim przestraszony artysta zdołał temu przeszkodzić zanim oburzony dwór zdążył uprzedzić cesarza, schylił się Karol Vty i podając z wdziękiem pędzel Tycyanowi rzekł: „Godzien jesteś by ci cesarze służyli."

## ZE ŚWIATA NAUKOWEGO I SPOŁECZNEGO.

### WEZUWIUSZ I JEGO WYBUCHY.

*Ciąg dalszy. (Ob. Nr. 60).*

Myśl odkopania zasypanych miast powzięto wkrótce po katastrofie w celach zresztą czysto materyalnych, jakoż roboty prowadzono w Pompei, dostawszy się jednym szybem do miasta, a następnie przebijając mury wzdłuż ulic, by przejść w ten sposób całą dzielnicę. Roboty te dla napotykanych trudności wkrótce porzucono i zwolna pamięć o miastach podziemnych tak się zatarła, że w roku 1592 przeprowadzając wodociągi z rzeki *Sarno* do *Terra del Anunziate*, przekopano znaczną część wulkanicznych popiołów po nad amfiteatrem i forum pompejańskiém i pomimo znalezienia mnóztwa gruzów a nawet niektórych posągów, niezwrócono na nie żadnéj uwagi. Dopiero w roku 1689 Jan Macroni, znalazłszy kawałek marmuru z napisem Pompei, zwrócił uwagę na ową miejscowość, zachęcając posiadających odpowiednie środki, by zajęli się odkopywaniem, co jednakże nastąpiło aż w roku 1748. Szczęśliwszém było Herculanum, które wypadkowo odkryte w roku 1684, już w 1720 doczekało się odkopywania rozpoczętego najpierwéj przez księcia Elbeuf, a następnie prowadzonego przez Don Carlosa króla obojga Sycylii. Odkrycia Herkulańskie były bodźcem do robót Pompejańskich, które też rozpoczął Karol III król Obojga Sycylii w r. 1748. Roboty przedsiębrane przy małych środkach i częstym ulegając przerwom, nie mogły doprowadzić do ważniejszych odkryć. Zasługa wprowadzenia robót na właściwą im skalę należy się generałowi Championet'owi, który jako Prezydent Rzeczypospolitéj Partenopeeńskiéj (Neapolitańskiéj) rozpoczął pracę odkopywania znacznemi siłami. Jó-

zef Napoleon niezaniedbywał też Pompei, a Murat bardziéj jeszcze się nią zajął, przeznaczywszy na ten cel rocznie 100000 franków, Z powrotem Burbonów do Neapolu roboty Pompejańskie wróciły znowu do dawnych rozmiarów, a w roku 1819 zupełnie je nawet zawieszono, chociaż później wznowiono je powtórnie, małe one bardzo wydawały owoce aż do czasu zjednoczenia się Włoch. Odtąd roboty idą nieprzerwanie pod przewodnictwem archeologa Fiorellego, chociaż obracane na nie środki jeszcze są niedostateczne. Roboty Herkulańskie, ulegające podobnym prawie co poprzednie przejściom, doczekały się pomyślnych okoliczności także dopiero po roku 1860. Stabiae dotychczas zostaje pod pokrywą popiołów, ponieważ nie zdołano na nie jeszcze natrafić.

Po strasznym wybuchu z roku 79 Wezuwiusz odpoczywał do roku 203 w którym na nowo i z niemniejszą siłą począł wybuchać. Opis tego wybuchu pozostawili: Dio Cassinus i Gallinus. Po trzywiekowem milczeniu nastąpił niezmiernie gwałtowny wybuch w roku 472 połączony z silném trzęsieniem ziemi w znacznéj części Europy Popioły wyrzucane przez wulkan dochodziły aż do Konstantynopola. Następne pomniejsze wybuchy wydarzały się w latach 512, 550, 672, 685. Wybuch z r. 983 zaniósł znowu popioły do Konstantynopola a w roku 993 zasypał ulice Rzymu. W roku 1036 lawa spłynęła aż do morza; wybuchy z roku 1049 i 1138 należą do pomniejszych a następne z kolei dwa wybuchy Wezuwiusza z roku 1305 i 1500 były już tak słabe, że niektórzy geologowie nie uważają ich za istotne wybuchy. Dopiero wybuch z roku 1631 (dnia 15 Grudnia) był znowu straszliwym; szybkość potoków lawy i tumanów wulkanicznych tak była wielka że, przyprawiła o śmierć około 4000 ludzi i zabiła przeszło 6000 sztuk bydła. Ciężkie bryły spadały aż o 12 mil od Wezuwiusza a lawa zalała *Bosco Reale*, *Terra dell' Annunziata Torre del Greco*, *Resinę i Portici*. Milczący dotychczas przez 5 wieków Wezuwiusz pokryty był łąkami i bujną roślinnością aż po sam prawie wierzchołek krateru, tém też większe było teraz zniszczenie i spustoszenie. Opis tego okropnego wybuchu pozostawił ksiądz Bracciani.

Ów spokój pierwiastkowy Wezuwiusza przypadł właśnie w tym czasie, kiedy się srożyła Etna na Sycylii. Rzeczywiście pomiędzy rokiem 1169 a 1631 przytrafiło się aż 20 wybuchów wulkanu sycylijskiego. W tymże czasie objawy wulkaniczne nie ustawały na Solfatarze, wyspie Iskii, gdzie powstał nawet nowy krater, i na wspomnionych już przez nas polach ognistych albo Flegrejskich, na których pomiędzy górą Barbaro a jeziorem Lucrinus utworzyła się nagle w ciągu jednéj nocy góra wysoka 440 stóp o obwodzie przeszło 8000 stóp, z kraterem głębogim na 421 stóp, z którego przez czas jakiś wybuchały popioły, żużle i błoto. Opisujący to zjawisko Falconi, powiada, że morze wyrzuciło wówczas mnóztwo nieżywych ryb, a martwe ptactwo znajdowano przez długi czas potem po polach.

Zestawienie z sobą tych zjawisk wulkanicznych najlepiéj przekonywa o związkach podziemnych Wezuwiusza z innemi wulkanami neapolitańskiemi i o istnieniu tych ostatnich jako pewnego systemu.

Po roku 1631 Wezuwiusz z małemi przerwami ciągle jest już czynny. Wybuchy silniejsze przytrafiły się w latach 1660, 1682, 1689, 1694 1698, 1701, 1704, 1708, 1717, i 1737. W czasie tego ostatniego ilość wyrzuconéj lawy obliczono na przeszło 11 milionów metrów sześciennych. Po wybuchach z roku 1751 i 1754 nastąpił niezwykle silny wybuch w roku 1760, przyczem utworzyło się 15 kraterów ziejących lawę. Wybuchy z roku 1767 i 1779 odznaczały się gwałtownością, wyrzucając ogromne bo niekiedy 100 funtowe bryły a popiół pokrywał ulice Neapolu. Gwałtowniejszym jeszcze był wybuch z roku 1794, w którym lawa w ciągu 6 godzin dopłynęła do morza, zamieniwszy jego fale w kipiące bałwany. Ilość lawy wyrzuconéj przy tym wybuchu obliczono na 16 i pół milionów metrów sześciennych.

W bieżącém stuleciu Wezuwiusz wybuchał w latach od 1804 do 1806, od 1810 do 1813, od 1817 do 1820, w 1822, 1823, 1827, 1828. W ciągu tego ostatniego utworzył się wewnątrz krateru stożek wulkaniczny na 150 stóp wysoki i ten po zasypaniu go popiołami wysadzony został w powietrze. Podobnież wysadzenie nowopowstałych dwóch stożków nastąpiło w roku 1831. Po niezbyt silnym wybuchu z 1834 nastąpiły dwa gwałtowne w latach 1839 i 1840. Przez następne kilka lat wulkan wybuchał prawie już bezustannie, przechodząc przytém liczne zmiany. Lawa wybuchu z 1850 r. opisanego przez Scacchi'ego o mało niedosięgła *Bosco Tre Case*. W roku 1855 lawa zalawszy *Fosso del Faraone* dostała się do *Massa* i *S. Sebastiano*. Był to pierwszy dopiero wybuch obserwowany i badany naukowo. Wybuchy z lat 1857, 1858, 1861 i 1868 nie przedstawiając nic odrębnego, chociaż każdy z nich wyrzucał obficie lawę; zasługuje na wspomnienie chyba to, że w czasie ostatniego z nich powstał nowy krater na *La Piane*.

Ostatni wybuch Wezuwiusza nastąpił w roku bieżącym—właściwie nawet jego początkowe objawy sięgają jeszcze dnia 1 Stycznia roku zeszłego, poczem dnia 13 Stycznia powstał mały stożek wulkaniczny ale ten wkrótce znikł. W Styczniu roku bieżącego znowu się utworzył mały stożek z otworami naokoło a wszystko zapowiadało zbliżanie sie wybuchu. Jakoż dnia 22 Kwietnia z krateru zaczęły wybuchać ogniste dymy. Po południu następnego dnia wybuchy jeszcze się zwiększyły, a wcałéj okolicy czuć się dawały od czasu do czasu bardzo silne wstrząśnienia i słychać było podziemne huki i łoskot. Na trzeci już dzień poczęła się dobywać lawa, zalewając najpierwéj równinę *Atrio* i tworząc wraz z kraterem ognisko o podstawie przeszło cztery kilometry kwadratowe mającéj. Zjawisko przedstawiało się niezmiernie wspaniale, zwłaszcza nocną porą, niby olbrzymie ogniste drzewo, którego konarami i koroną były dymy i gazy odbijające krwawo czerwoną łunę, a korzeniami cztery strugi lawy wylewające się z równiny Atrio, jedna ku *Torre del Greco*, druga ku *Bosco Reale*, trzecia w kierunku *Resiny*, czwarta zaś ku fossie zwanéj *Vetrano*. Przez cały też dzień 25 Kwietnia massy ciekawych szczególniéj cudzoziemców dążyły na Wezuwiusz, by z bliska przyjrzeć się zjawisku coraz świetniéj się przedstawiającemu.

Nagle nad ranem dnia 26 pomiędzy godz. 3 a 4 dało się uczuć kilka bardzo silnych wstrząśnień, poczém mały stożek wulkanu wysadzony został w powietrze, a z utworzonych wzdłuż nowo powstałéj szczeliny kilku kraterów lawa obficie zaczęła wypływać. Szczególniéj strumień płynący ku Vetrano był szybkim i wielkim, szerokość bowiem jego dochodziła kilometra, a prędkość tak była znaczną, że potrzebowałby dwóch tylko dni czasu, żeby się dostać do przedmieść Neapolu. Niespodziany ten wybuch był przyczyną wielu ofiar. Przeszło 100 osób których ciekawość zawiodła aż do Atrio zginęło w strumieniach lawy, lub popiekło się od jéj żaru; wszyscy pragnęli uciekać, ale ucieczka była niepodobną, gęsty bowiem dym i popioły zaciemniły zupełnie horyzont tak, że nieszczęśliwi błądzili w rozmaitych kierunkach co chwila rażeni wielkiemi odłamami skał rozpalonych, które wulkan wyrzucał ciągle ze swego wnętrza.

W obec tego stanu rzeczy mieszkańcy miast i osad u podnóża Wezuwiusza zaczęli uchodzić ze swym dobytkiem, roznosząc po całéj prowincyi Neapolitańskiéj przestrach paniczny. Co gorsza, władze prowincyi nie mogły mieć dotychczas prawdziwych wiadomości o stanie wulkanu a wśród ludności krążyły tymczasem najokropniejsze wieści. Zwrócono się tedy do professora Palmieri'ego badacza zjawisk wulkanicznych mieszkającego w stałém obserwatoryum zbudowaném na pochyłości wulkanu. Palmieri oddawna się upominał o stosowne uposażenie zakładu i o połączenie go z okolicznemi miastami za pomocą telegrafu elektrycznego. Jako zadość uczynienie pierwszemu żądaniu parlament włoski udzielił 3000 franków rocznie, na drugie zaś żądani dał odpowiedź odmowną. Teraz dopiero przekonano się o korzyściach nie już naukowych ale czysto materyalnych z urządzeń proponowanych przez Palmieri'ego, ponieważ niebyło jednak i mowy o założeniu telegrafu w chwili wybuchu, ograniczono się zatem na zobowiązaniu odważnego professora by co 4 godziny przez posłańców nadsyłał zawiadomienia o stanie wulkanu i o grożących niebezpieczeństwach do najbliższéj stacyi telegraficznéj, zkąd wiadomości te przesyłano do Neapolu i do wszystkich miejscości prowincyi. (*d. c. n.*)

## ROZMAITOŚCI.

— W Medyolanie będzie wzniesiony pomnik genialnemu malarzowi Leonardowi da Vinci; fundamenta już położono. W Zurychu krzątają się około wzniesienia pomnika Ulrykowi Zwingliuszowi, reformatorowi kościoła, który prostował drogi dla Lutra.

— W Pekinie zawiązało się Towarzystwo szerzenia wiadomości pożytecznych pomiędzy Chińczykami. W tym celu między innemi ma się wydawać czasopismo illustrowane w języku angielskim i chińskim.

Do Redakcyi przysłano na rzecz rodziny po **Stanisławie Moniuszce**: Od M. Uzł.... rs. 3 i od M. Ros..... rs. 1.



**Wydawca**, Hipolit Orgelbrand. Дозволено Цензурою, Варшава 17 (29) Іюля 1872 г. **Redaktor**, Mieczysław Orgelbrand Mag. Pr. i Adm.

w Drukarni S. Orgelbranda Synów. w Warszawie ulica Bednarska Nr. 20.